

Chciałbym powiedzieć słowo o czymś – wiele na to wskazuje – nieważkim, mało znaczącym, marginalnym i marginalizowanym, o czymś, co w obliczu realnych sił siłę ma niewielką. Chciałbym powiedzieć słowo o... słowie, parę słów o słowie. O jego używaniu: i w aspekcie jego rozumienia, i w aspekcie jego, powiedzmy, temperatury. O tym, co się stało, co się staje ze słowem. A może z nami.

Po pierwsze...

Mówimy: „wymienić słowo z kimś”, „zamienić słowo z kimś”, zazwyczaj mając na myśli i na względzie podjęcie z kimś rozmowy, zaproszenie do wzajemności, szukanie rozumienia, zrozumienia i porozumienia. Czy jednak – często i często niemal niezauważalnie – nie zmieniamy słowa, nie podmieniamy słowa na inne?

Choć po Nietzsche, de Saussurze i Derridzie trudno byłoby utrzymywać, że sens ze słowem jest na trwałe związany, to jednak wydaje się, że niegdyś – niech to będzie jakieś enigmatyczne „niegdyś” – słowa jaśniej znaczyły, słowa znaczyły to, co (mniej więcej) zazwyczaj znaczą. A jaśniej znaczyły dzięki ich (mniej więcej) jasnemu uzusowi – wypowiadaliśmy je bowiem w intencji po-rozum-iewania się. Miały więc słowa swoją moc i wagę. I sens.

Kto dziś jeszcze „klnie się na słowo”, kto dziś „daje słowo”, kto dziś pamięta, że można „być po słowie”, kto dziś używa określenia: „słowo honoru” – bo wystarczyło powiedzieć słowo: *parol*, *verbum nobile*, *ma foi*. I słowo wystarczyło – *ein Mann ein Wort*.

Dziś potrzebny jest podpis lub przysięga – jedynie administracyjne gwarancje i haczyki, służące rozliczeniu nas, wciągnięciu w bezosobową maszynę, pociągnięciu do odpowiedzialności, egzekucji – od nas i... nas.

Dzisiejszy świat, na wskroś świat mass mediów i polityki, zawłaszczył słowo i je narzuca, epatuje na każdym kroku wielością słów, zalewa nimi. A co one znaczą? Czy znaczą to, co znaczą? Słyszę oto: „oszczędzasz!” – pytam więc: oszczędzam, gdy wydaję?; słyszę: „taniej!” – pytam więc: taniej niż co?; słyszę: „płacisz tylko tyle!” – a obok widzę ledwo czytelny napis, że tyle teraz, a potem całą resztę. Wokół morze obietnic wyborczych, zapewnień, gwarancji, tanich kredytów, promocji, obniżek cen, jednym słowem, panaceów na wszystko...

Słowa często dziś używane są perswazyjnie, a właściwie: perwersyjno-perswazyjnie, z definicji bowiem mają znaczyć coś innego, niż (zazwyczaj) znaczą. Służą bowiem temu, by ci, którzy w taki sposób ich używają, odesłali nas do zwykłego słów rozumienia, do pozytywnych naszych skojarzeń (jak słowo zachęty) – po to, by potem tym łatwiej udało się im „dać” nam coś (produkt, pogląd), co dla nas mają, do czego chcą nas przekonać. Dlaczego tak się o nas troszcza? Bo chcą bądź naszych pieniędzy (ekonomia), bądź naszych dusz, tj. głosów wyborczych (polityka), bądź jednego i drugiego (kościół). I z reguły dostają.

Bo kto dziś przywiązuje wagę do słowa? Już przecież przed wiekami poeta rzekł demaskatorsko: „słowa, słowa, słowa”. Toteż sami nie wierzymy słowom innych i inni nie wierzą już słowom naszym – *circulus vitiosus*. A jednak wciąż dajemy się wziąć na lep.

Czyżby – tak jak myśl, która (boleje Deleuze) zyskuje rangę, ważność, jakich sama z siebie nie posiada, tylko dzięki przejęciu modelu od formy etatycznej – także słowo tylko wówczas miało moc, gdy wypowiada je instytucja, gdy stoi za nim realna siła? Bo ono samo jest całkiem bezsilne?

Słowo dziś służy temu, by zachęcić, podejść, omamić, uwieść, zniewolić, jednym słowem: oszukać i wykorzystać, służy temu, by nas ograbić: z pieniędzy, z ufności, z sensu. Rzadko temu, by się *rozum-ieć*, *z-rozum-ieć*, *po-rozum-ieć*, by szukać wzajemności, intymności.

Nie żyjemy dziś pośród fiorytur języka cyzelowanych sztuką słowa (poezja), lecz pośród słów powykręcanych i poprzekręcanych, sperwertyzowanych i wynaturzonych – merkantylizmem, pragmatyzmem, żądzą władzy i dominacji.

Po drugie...

Znamy dobrze słowa ostre, brutalne, agresywne, gwałtowne, przykre, raniące, podłe, chamskie... I nie chodzi tu przede wszystkim po prostu o wulgaryzmy – dobrze wiedział Witkacy, że niekiedy oddają one i podkreślają temperaturę i żywość wypowiedzianych zdań, że bywają akcentami – dopóki, rzecz jasna, nie biorą na siebie w pełni funkcji znaków przestankowych. Znamy je dobrze, bo słyszymy je już wszędzie i najczęściej, niekiedy nawet – już przyzwyczajeni – puszczone mimo uszu: nie chcemy słyszeć i już nie słyszymy.

I sami słowa złe wypowiadamy bez zastanowienia, wręcz odruchowo – w zdenerwowaniu, w pośpiechu, w napięciu, w złości, w zmęczeniu – nie poruszają nas one, nie żenują, nie odpychają, nie boją. Czynimy to tak często i tak łatwo, że stają się codzienne, zwykłe, normalne. Alternatywą zaś dla nich w komunikacji jest wyłącznie obojętny konwenans: pustosłowie i... bezmyślność, jednym słowem, obcość, ba, wrogość. Albo gorzej: nic.

Pomijam tu urodę słowa zabijaną przez uzus i modę (potworki typu: „na dzień dzisiejszy”, „nie do końca”) i elektroniczne środki komunikacji (operujące skrótami i eliminujące znaki diakrytyczne) – taki świat i, jak wiadomo, *chujom moria nie zbeltajesz*.

Pomijam też słowa miłości i erotyzmu, których brak w kulturze europejskiej, a w polskiej szczególnie. Cóż bowiem – poza wulgaryzmem, określeniem medycznym bądź oklepaną „metaforą” – możemy, ale też umiemy wyszeptać w alkowie?

Co więc stało się ze słowami życzliwości, uprzejmości, serdeczności, szacunku, poważania, zrozumienia, współodczuwania, szczerości, żarliwości, czułości, oddania, poświęcenia, tęsknoty, nostalgii, radości, wzajemności? Szeptanymi, wykrzykiwanymi – wyznawanymi i dawanymi?

Kto dziś pamięta słowa: „tkliwość” i „rzewność”?

A często także: „proszę”, „dziękuję”, „przepraszam” – słowa magiczne?

Kto dziś daje wyraz przyjaźni – słowami o tęsknocie, o oczekiwaniu spotkania, o radości ze spotkania?

Kto dziś w specjalnie wyszukiwanych – i wyszukanych – słowach wyznaje miłość?

Wolimy głaskać psa (dokąd się nam nie znudzi), a warczeć na człowieka. Tak łatwo ugryźć, tak trudno przytulić.

Co więc stało się ze słowami ciepłymi, słowami gorącymi?

Czy w świecie pozostającym pod egidą siły, sprawności i skuteczności, kultu *macho* i *businesswoman*, boimy się ujawnić delikatność i wrażliwość? Czy lękamy się, że inni uznają nas za słabych? Czy obawiamy się wyświechtać słowa piękne? Drżymy, że odkrywając to, co w nas dobre, stajemy się bezbronni? Boimy się szczerości? Śmieszności? Nie umiemy wyrażać pozytywnych uczuć? Boimy się być ludźmi?

A może lepiej zaryzykować obnażenie się w delikatności (bo jeśli to dar wyjątkowy?), uchodzenie za mięczaka (bo jeśli siła tkwi gdzie indziej?), może lepiej wystawić słowa na niebezpieczeństwo trywializacji (bo jeśli inaczej pójdą w zapomnienie?), może lepiej podjąć ryzyko porozumienia (bo jeśli będzie to Spotkanie?), niechby i śmieszności (bo jeśli to nie są żarty?), niż pluć jadem bez opamiętania bądź – tylko – chować głowę w piasek? Zapewne lęk przed otwartością jest tu decydujący. Chronimy siebie, a więc coś niebagatelnego zyskujemy. A ile tracimy? Pozostaje antycypacja sumy zysków i strat. Może więc lepiej żałować, że się ciepłe słowo powiedziało, niż żałować, że się go nie powiedziało? Może warto podjąć wysiłek?

Zapewne pamiętamy: „A jednak często jest, że ktoś słowem złym zabija tak, jak nożem...” – cóż, *Dziwny jest ten świat*. Słowa przecież mogą ranić, słowa mogą przynosić ból, udrękę, smutek, mogą zabijać. Ale mogą też radować, nieść otuchę i nadzieję, dawać siłę i poczucie bezpieczeństwa, mogą przywracać do życia!

Słowa nie są więc bezsilne. Wprost przeciwnie. Czy to zatem my jesteśmy bezsilni? A może tylko/aż zobojętniali?

Po trzecie...

Bodaj powszechne jest przeświadczenie, że słowo niewiele znaczy w świecie władzy, pieniądza i zalewu informacji. Że w ogóle moc i waga słowa są śmiechu warte. I zasadniczo z opinią taką trudno dyskutować. Cóż bowiem mogą mówcy i retorzy przeciw bombom i armatom. Ale może rola tych, którzy słowem (i myślą) – z wyborów własnych bądź wyroków losu – zajmują się nieodmiennie, wciąż jest nie do przecenienia? Zwłaszcza jeśli wierzyć Schopenhauerowi, który myślenie nierozzerwalnie wiąże z wrażliwością, i to w stosunku wprost proporcjonalnym.

Jak Schopenhauer, nie mam jednak złudzeń, że moje słowa o słowie cokolwiek zmienią w świecie. Ale świadomość ta nie zwalnia mnie, jak sędzę, z obowiązku tych słów wypowiedzenia.

Nawet jeśli utopie są nierealizowalne, nawet jeśli mamy dziś nader jasną (a czasem i bolesną) tego świadomość, to – powiem za siebie – nic nie zwalnia mnie z obowiązku zabiegania o taką czy inną jej wersję, niechby nawet ograniczoną, niechby

nawet na poły bądź wyłącznie osobistą, niechby nawet wyłącznie zmityzowaną – o mrzonkę.

Bo nic i nikt nie zabroni człowiekowi marzyć. Bo nic i nikt nie odbierze człowiekowi nadziei. O tym i na to, że zdoła on jeszcze cokolwiek – choćby tylko cokolwiek – zmienić słowem dobrym, ciepłym i – jeśli los będzie łaskaw – także mądrym. Zmienić w kimś i w sobie, a więc... w świecie.

Może więc warto czasem – nim całkiem wyjdą z użycia, a odnalezione w poezji sprzed wieków pozostaną niezrozumiałe, puste i obce – wypowiadać jeszcze czasem takie słowa. „Dać słowo” to także „podać słowo”, a więc „uczynić ze słowa dar”.

Może więc warto też słowo usłyszeć, w skupieniu wsłuchać się w nie, otworzyć na nie. I zaufać. I słowu, i słowo mówiącemu.

Czy wówczas jednak dar ten nie spowszednieje, nie zszarżeje własnym powtórzeniem, nie zblednie ciągłym powracaniem, nie zniknie z pola widzenia swą stałą obecnością? Będzie już tylko nie-wydarzony czy będzie się stale wydarzać, a dzięki temu może i stale darzyć? Zapewne trzeba niemałego wysiłku, by mówić i by słyszeć, by po-wiedzieć i by u-słyszeć, by odważyć się po-wiedzieć i chcieć wysłuchać. I niemałego wysiłku, by od-powiedzieć.

Z rozmysłem nie chciałem tego tekstu przyoblekać w precyzyjne pojęcia, wyposażyć w klasyfikacje i zarysy tendencji, czynić z niego (niechby tylko wstępnej) teoretycznej analizy zjawiska, powiedzmy, dewaluacji słowa. Chciałem tylko poświęcić słowu kilka słów, a zatem – niejako – słowo u-święcić. Oczywiście beznadziejnie – a to, jak wiadomo, święte słowa.